

# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Fig. 31. Świeące polipniki z rodziny *gąsiciolów* (Mopsea).

## ŻYCIE W OCEANIE

PRZEZ

Dz. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

### Zwierzokrzewy świeące.

Powiedzieliśmy już na początku tego rozdziału, że polipy bardzo często wydają w nocy fosforyczne światło. Znaczna część tych zwierząt pływa po powierzchni oceanu, światło ich przeto zlewa się z fosforescencją morza, podnosząc bardziej jej blask. Ale osiadłe kolonie polipów, żyjące na rozmaitej głębokości rozlewają swe światło w łonie morza, jak latarnie pozapalane na dnie i na skałach. Krzaki i drzewka polipników okrywają nieraz znaczne obszary na dnie morskiem

i tworzą tam istne żywe laski. Jeżeli wyobrazimy sobie, iż z mnóstwa krzaków naraz tryska różnobarwne światło, to wyglądać to może zapewne, jak gdyby pożar objął te lasy. Niestety, nie możemy widzieć tych cudów, ukrytych głęboko, a wnioskować o nich możemy jedynie badając w pracowniach świeące zwierzęta, które za pomocą sieci wydostają z głębin morza. Oto jak opisuje te cudowne zwierzęta przyrodnik Folin: „Świeżo złowione w morzu krzaki polipów wniesiono do laboratorium, gdzie pogaszono natychmiast wszystkie światła. Gdy w sali zapanowała zupełna ciemność, ujrzeliśmy natychmiast czarujące zjawisko, najpiękniejsze jakie oko ludzkie kiedykolwiek oglądać mogło. Ze wszystkich gałęzi i gałązek polipników, tryskały strumienie światła (fig. 31) a blask jego to słabnął, to znów się ożywiał, przechodząc przez wszystkie możliwe kolory, od fioletowego do purpurowego i od czerwonego do pomarańczowego; następnie niebieski kolor nieznacznie zmieniał się w zielony rozmaitych odcieni; niekiedy światło przybierało blask biały, jak mocno



rozpalone żelazo. Zasadniczą jednak barwą była zielona, inne ukazywały się tylko na chwilę, jak błyskawice i raptownie zlewały się z zieloną barwą.

Trudno wyobrazić sobie coś równie pięknego, najwspanialszy nawet fajerwerk nie może być porównanym z tem wspaniałem zjawiskiem. Czy nie jest to zdumiewające, iż te drobnouchne istotki tak są uorganizowane, że ciało ich wydaje światło, którego blask naśladuje fajerwerki, światło elektryczne, niemal światło słoneczne. Aby dać pojęcie jak wielką była siła tego światła, dodajmy, że sala laboratoryjna miała przeszło 6 metrów długości, a jednak w najodleglejszych jej punktach mogliśmy czytać pismo o drobnym druku, jak gdyby w białym dniu.

Niestety, zjawisko niedługo trwało; życie stopniowo uchodziło z tych zwierzątek; żywość blasku słabła z każdą chwilą, ognie gasły wraz z życiem polipów. Po upływie kwadransa ostatni blask zniknął i polipniki stały się ciemne jak suche gałązki.

Opisaliśmy jak się świecą polipniki zwane *gąsiołami* (*Gorgonidae*), to nam daje pojęcie co się dzieje z innymi polipnikami, czy to osiadłymi czy też wolno pływającymi. Do takich świecących kolonii należy również piękny koral *piórówka* fig. 32, zwany tak dla tego, że polipnik ma kształt pióra z bocznymi odnogami, na których siedzą zwierzątka. Dolna część pnia tkwi zwykle w mule lub piasku, lecz nie przyrasta do dna i może swobodnie zmieniać miejsce.

Miedzy *rukopławami* unoszącymi się zawsze na powierzchni, wiele jest również gatunków świecących, jak np. prześliczna *Praya* fig. 33 z morza Śródziemnego; kolonia ta jest różowej barwy z delikatnym niebieskim odcieniem, a gdy świeci się w nocy, to przypomina zapalony żyrandol.

Miedzy wielkimi *meduzami*, mającemi postać grzyba, większość gatunków wydaje światło fosforyczne. Najczęściej światło ukazuje się na zewnętrznej powierzchni grzyba, ale u niektórych gatunków bywają oświetlone i wnętrza, tak, iż meduza ukazuje się nam wówczas, jak szklany grzybek z ukrytym wewnątrz płomykiem. Do takich świecących meduz należy *chelbia modra* (*Aurelia aurita*) fig. 34 i *Pelagia* (patrz wyżej fig. 23). Wreszcie wiele jest świecących zwierząt między *żebroławami*, a między innymi znany już nam *parawitek* (patrz wyżej fig. 30) z morza Niemieckiego.

Nie prędko skończylibyśmy opowiadanie, gdybyśmy chcieli opisywać wszystkie świecące polipy. Musimy przeto poprzestać na tych kilku okazach, tembardziej, że mamy jeszcze opisać wiele rzeczy ciekawych, a zwierzęta świecące napotkamy i w innych grupach.

(d. c. n.)

# ODZYSKANY.

POWIEŚĆ

przez

Maryję Łopuszańską.

(Dalszy ciąg).

Paweł sam aczkolwiek znacznie postarzał w ciągu lat ostatnich, jednak kosił wraz innymi i nie zostawał w tyle. Robota szła raźnie i wesoło, zwłaszcza, że upał niezbyt do-

kuczał, gdyż niebo zaciągnięte było lekką, przejrzystą chmurką, nadającą mu barwę mlecznobiałą; a przytem od czasu do czasu od Dniestru pociągał lekki wietrzyk, chłodzący czoła oznojonę. Wśród rozmów pobrzękiwały kosy i rozlegał się szelest trawy, kładącej się na ziemi, długimi pokosami. Na czele kosiarzy szedł młody, wysoki, smukły chłopak, który wszystkich prześcigał w robocie, chociaż zdawał się machać kosą tylko od niechcenia. Pomimo ogorzałej twarzy postać jego wyróżniała się wśród gromady pracujących jakąś wrodzoną szlachetnością ruchów.

— No, słońce już wysoko, czas by spocząć — ozwał się jeden z robotników patrząc na niebo.

— Jam wcale jeszcze nie zmęczony — rzekł młodzieniec raźnie.

— A jak tam, czy dużo jeszcze do końca. Co myślisz, Juraś, czy skończymy dzisiaj? spytał Paweł.

— Czemu nie? — odparł zapytany. Robota dziś idzie żwawo bo słońce nie pali. Do wieczora dojdziem do końca.

— No, to siadajcie połudenkować! — krzyknął Paweł na robotników, którzy natychmiast złożyli kosy i dobywszy chleb z torb płóciennych, zasiedli do jedzenia.

— Spójrz no, Juraś, wszak to ktoś jedzie do nas? — ozwał się Paweł przysłaniając ręką oczy.

Juraś rzucił tylko okiem we wskazaną stronę i zawołał radośnie:

— A któżby, jeśli nie Bandura! Tak, tak — on sam!

— Dawno już nie był u nas — ozwał się Paweł. Hej kumie, a bywajcie — krzyknął na nowoprzybyłego, który jechał ku nim na koniu. Był to w istocie Bandura, ale co najdziwniejsza, że wierzchołek pod nim okryty był pianą, jak gdyby daleką drogę odbył w całym pędzie. Bandura skoro podjechał bliżej, zeskoczył z konia mówiąc do Jurasia:

— Weź go, chłopcze, bo się zmachał okrutnie.

— A zkądże to Bóg prowadzi? — spytał Paweł.

— Aż z pod Baru — odparł Bandura — zajechałem umyślnie do was by dać znać, że Tatarzy plądrują w okolicy Baru, spalili Kudyjowce i już podobno siła ludu w płon poszła. Ze wszystkich stron ściągają zbrojne kupy. Nasza milicya ma wyruszyć z Bakoty dziś wieczorem.

— Ano to chyba i ja z wami — rzekł Paweł, po chwili namysłu.

— Jak tam sobie chcecie, ale Jurasia mi dajcie, boć to dla niego będzie dobra szkoła; jeszcze nie był dotąd w prawdziwej bitwie.

— A bierzcie, albo ja wam bronie? Za piecem go przecież chować nie myślę, chłopiec już dawno dzień i noc do tego wzdycha.

Łatwo sobie wystawić radość Jurasia, gdy się dowiedział o postanowieniu, nie mógł na miejscu usiedzieć i powróciwszy na futor, pobiegł natychmiast do Krystyna. Wpadł jak burza do jego chaty wołając: „Ojcie Krystynie idę na wojnę”!

Starzec zajęty był struganiem jakiejś deski; na głos Jurasia podniósł głowę i spojrzał w rozpromienioną twarz chłopca.

— Gdzie? z kim? — zapytał.

Juraś począł mu opowiadać szybko o Tatarach.

— Dziś wieczór ruszamy pod Bar, przyszedłem was tylko pożegnać — dodał w końcu.

— Ano, niechże cię bóg strzeże, chłopcze — rzekł Krystyn wzruszonym głosem i zrobił nad nim znak krzyża. Pamiętaj abyś stał śmiało w obec wroga.

— Bądźcie spokojni ojcie, uciekać przed nim nie będę — odparł Juraś z zaufaniem.

Gdy powrócił na futor, wrzały już tam przygotowania wojenne. Steńka pomagała mężowi i wynosiła z chaty rozmaite rynsztunki i bronie. Parobcy czyścili konie na podwórzu.

— A pamiętajcie żebyście mi tu siana nie zmarnowali — przestrzegął Paweł czeladź.

— Już niech cię o to głowa nie boli, mężu, — odrzekła Steńka — zrobimy co należy. Spójrz no, nagotowałam tutaj dla was żywność na drogę, czy wystarczy?



— Oj, oj, czemu niema wystarczyć. Ale gdzież Juraś się podziewa?

— Tutaj jestem, czego chcecie tatusiu? — rzekł Juraś zbliżając się.

— Chodźno, obaczę, czy ta misiurka będzie dobra na ciebie?

I pociągnął go do chaty. Pełno tam było broni porożkładanej: szable, spisy, rohatyny, koncerze, janczarki wszystko tam było. Obok leżały siodła, trzęzle, uździenice, które Steńka pozносиła i poskładała obok rozmaitych pancerzy, hełmów i misiurek. W kącie pacholek zajęty był czyśczeniem rynsztunków.

Nie widać było żadnego wielkiego zamieszania, znać dla wszystkich nie było żadną nowiną wyruszać w pochód. Steńka i reszta kobiet zarówno były spokojne jak i mężczyźni; były już do tego przyzwyczajone od dziecka wszak całe życie na kresach upływało na nieustannych alarmach.

Do wieczora wszystko już było gotowe i gdy na niebie zachodniem zorza zajaśniała, już przed wrotami stało cztery konie posiadlane na które wsiedli: Paweł, Juraś i dwóch pacholek, a przy wrotach zebrała się cała czeladź, żegnając wyruszających. Bywaj zdrowa, żono, rzekł Paweł do Steńki, która ukradkiem ocierała łzy fartuchem, a pilnuj dobrze gospodarstwa!

— Bywaj zdrów, wracaj szczęśliwie! — odparła Steńka, poczem objawszy Jurasia ucałowała go w głowę szepcząc: „Niech cię Bóg i święta Przenajwyższa strzeże”!

Juraś pocałował jej rękę, schylił się do kolan i wskoczył na koń. Przez otwarte wrota wyjechała czwórka jeźdźców a oczy pozostałych patrzyły za nimi długo.

Steńka po ich zniknięciu pobiegła do komory by tam popłakać w ukryciu, ale po chwili, przypomniawszy sobie, że teraz na jej babskiej głowie całe gospodarstwo spoczywa, otarła szybko oczy i poszła popatrzeć czy było napojone. Na sercu jej wprawdzie było ciężko, ale cóż począć, taka już dola kobiety na świecie, że ciągle kogoś żegnać trzeba.

Wszystkie zbrojne oddziały miały się zjechać w Patryńcach i ztamtąd już razem wyruszyć pod Bar. Trzeba się było spieszyć aby przed północą stanąć na miejscu zbornem. Wieczór był jasny i ciepły; czterech jeźdźców jechało pomiędzy polami okrytymi zielonem i kwitnącem zbożem, od którego szedł zapach. Na około czerniały lasy ciągnące się niezmierznie półkolem. Zorza na niebie gasła; od futuru dochodziło jeszcze oddalone szczenie psa i poryk bydła, lecz te głosy znikły wkrótce i otoczyła ich uroczysta cisza.

— Miesiąc niebawem zejdzie, to będzie dobrze jechać — ozwał się jeden z pacholek, lecz nikt mu nie odpowiedział. Od czasu strzemię o strzemię szczyknęło albo nietoperz piszcząc przemknął w cichem powietrzu, zakreślając koła nad głowami jeźdźców. Niedługo jednak tak jechali samotnie, wkrótce drobne oddziały, po dwóch, trzech czterech ludzi zaczęły się do nich przyłączać i nim przybyli do Patryńców oddział ich składał się z dwudziestu ludzi. Księżyc oświecał im drogę ciągnącą się jarami i lasami. Było już około północy, gdy stanęli w Patryńcach, wsi położonej w głębi jaru. Zdaleka widać było pozapalane pochodnie i gromady zbrojnego ludu stojące na placu przed karczmą.

W blasku pochodni, mieszanym się z błękitnem światłem księżyca, połyskiwała broń różnego rodzaju; słychać było rżenie koni, co chwila coraz nowe gromady ludzi przybywały, a byli tam i kmiecie i mieszczenie i szlachta. Niektóre oddziały były konne, inne piesze, jedne lepiej, drugie gorzej zbrojne. W pośrodku placu na koniu, stał mąż, odziany w zbroję połyskującą i wydawał bezustanne rozkazy. Światło dwóch pochodni zatkniętych w pobliżu oświecało go od stóp do głów.

Paweł ze swą gromadą stanął także na placu za innymi i zapytał człowieka stojącego przy nim:

— Powiedziecie, bracie, kto jest ów rycerz na koniu?

— Który? Ten co wydaje rozkazy? To pan rotmistrz, Struś.

— Aha, więc to on — rzekł Paweł takim tonem jak gdy-

by owo nazwisko obudziło w nim zupełne zaufanie i poczucie bezpieczeństwa.

Pochodnie dobrze oświecały ową postać odzianą w zbroję, o mocno ogorzałej twarzy wyglądającej z pod otwartego hełmu i ciemnych, bystrych oczach, które patrzyły tak, jakby odrazu mogły objąć połowę horyzontu. Nie był zbyt wysoki, ale zbudowany krzepko. Członki jego zdawały się wykute ze stali, ruchy miał szybkie, energiczne; co chwila pochylał się na koniu, chcąc coś dojrzeć w ciemności, a głos jego donośny, rzucający rozkazy tonem krótkim i surowym, zdawał się być także przywykłym do szerokich przestrzeni. Słowem, był to typ rycerza stepowego, z owej dawnej szkoły, co to w niej ludzie żyli i umierali na koniu, w pogoni za Tatarami.

Jurasiowi serce uderzyło żywiej w piersi, skoro ujrzał owego rycerza, bo teraz był pewnym, że Tatarom dostanie się dobrze kiedy pan Struś pójdzie na nich.

A przybywało go wciąż tyle, że się już we wsi pomieścić nie mogli i stali na drodze w porządku, czekając na rozkazy. Na placu znajdowało się parę chorągwi okolicznych panów dobrze zbrojnych i na dobrych koniach; te patrzyły z pewnem lekceważeniem na ów drobny lud uzbrojony tylko w spisy, rohatyny, lub też poprostu w maczugi nabijane kamieniami.

— Czy milicya z Bakoty już przybyła? — zapytał pan Struś stojących w pobliżu niego kilku szlachciców, odzianych w zbroję.

— Jest tutaj, panie rotmistrzu, na wasze rozkazy — ozwał się głos pana Wreszczyńskiego, przedzierającego się przez tłum, który otaczał rotmistrza, a za nim zabłyszczały spisy przy świetle pochodni.

— To dobrze, weźmiesz waść pod swoją komendę cały lud zbrojny, który się zbiegł z wsi okolicznych i pójdiesz ku Halczyńcom. Panie Morozowski, waćpan także ze swym hufcem przyłączysz się do konendy pana Wreszczyńskiego, bo znasz najlepiej tamte okolice.

— Panie rotmistrzu, aczkolwiek sam towarzyszyć mu nie mogę, jednak chętnie oddam swój hufiec wraz z synem pod komendę pana porucznika — ozwał się zagadnięty szlachcic, wysuwając się z tłumu. I proszę zarazem inczi pana porucznika o wzięcie w opiekę mego chłopca, dla którego to będzie pierwsze pole.

— Z miłą chęcią, a gdzież on? — odparł pan Wreszczyński — my w tej chwili wyruszamy.

— Oto jest, panie poruczniku, mój syn Janusz; oddaję go z całą przyjemnością pod rozkazy tak doświadczonego jak wy rycerza. To mówiąc pan Morozowski wskazał na swego syna, stojącego obok. Niewiele starszy od Jurasia, wysmukły odziany był w lekką zbroję; tuż za nim stał pacholik trzymający za uzdę pięknego konia siwej maści.

Zbliżywszy się do starego wojaka, młodzieniec skłonił się pochylając głowę, okrytą czarnym włosem.

Juraś stojąc dosyć blisko, mógł go dobrze widzieć i ucieszył się bardzo, że obaj będą pod rozkazami pana Wreszczyńskiego, bo młody Morozowski bardzo mu się podobał od pierwszego wejrzenia, z oczu bowiem i z całej twarzy biła śmiałość i szlachetność zarazem.

— No, spraw-że się dzielnie, chłopcze, abyś mi wstydu nie przyniósł — rzekł pan Morozowski do syna, żegnając go, gdy wsiadł na konia. Tymczasem oddział zaczął się szykować do pochodu; hufiec pana Morozowskiego wyruszył pierwszy za nim reszta ludu zbrojnego pociągnęła. Noc była księżycowa, a tak jasna, że jak to mówią, po drodze szpilki można było zbierać. Jeźdźcy rzucali na nią długie, czarne cienie. Juraś jadąc, myślał o tem czy prędko spotkają Tatarów, bo mu się strasznie spieszyło ich ujrzyć. Co chwila zdawało mu się, że wyskoczą oni gdzieś z za skały, każdy szelbest brał za ich zbliżenie się, po dziesięć razy opatrywał pistolety i poprawiał się na siodle, aby być gotowym do natarcia. Ale Tatarów jak nie było, tak nie było. Wyjechali wreszcie z jaru i ujrzeli przed sobą szeroką przestrzeń, na której lasy zdawały się usuwać gdzieś w dal i tworzyły tylko jakąś czerniejącą linię na widnokręgu. Rosa spadła obficie, konie parskwały głośno co chwila. Pan Wreszczyński je-



chał na czele i od niejakegoś czasu począł się pilnie rozglądać po okolicy.

— Nasz stary napewno coś czuje — szepnął Bandura do Jurasia, obok którego jechał. On ma nos jak u ogara.

— Czy myślicie, że spotkamy Tatarów — spytał Juraś z radością.

— Tego nie mówię, ale Tatarzy tędy przeszli. Pamiętaj tylko chłopcze, żebyś w razie bitwy mnie się trzymał, a ja cię z oczu nie stracę, choćby w największym tłumie.

Tak rozmawiając dojeżdżali do niewielkiej wsi, położonej w dolince. Ale skoro stanęli nad samą kotliną, okropny widok uderzył ich oczy. Z całej wsi pozostały tylko czarne zgłiszczka, które miejscami jeszcze dymiły; ani żywej duszy nie widać było dokoła. Gdy się zbliżyli do zgłiszczy, ujrzeli kilka trupów leżących w poprzek drogi: jeden z nich leżał rozkrzyżowany z toporem w rękę u progu swej chaty zburzonej, jakby jeszcze bronił do niej przystępu. Reszta ludności rozbiegła się lub też poszła w jasyr.

— Widać, że psiawiary niedawno przeszli tędy — rzekł Bandura — ale kto wie gdzie oni teraz?

Im dalej jechali, tem więcej spotykali śladów przejścia Tatarów. Pola były stratowane

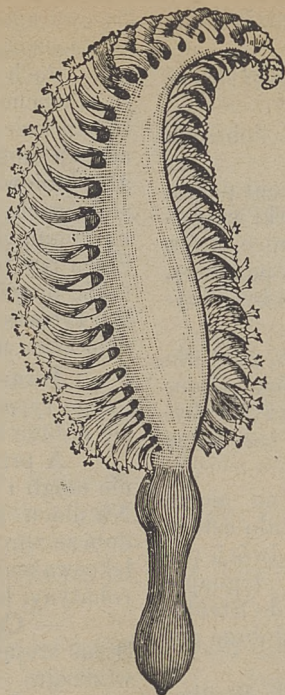


Fig. 32. Piórowka (*Pematula*)  
 $\frac{1}{3}$  wielkości naturalnej.

może myśleli co tam się stanie z ich domami w czasie nieobecności i czy także nie zastaną zgłiszczy i trupów? Świtać już poczynęło kiedy pan Wreszczałyński kazał wszystkim stanąć i rozdzielił swój oddział na dwie połowy; poczem wezwał Pandury i rzekł mu: „Wybierz sobie ludzi, którzy ci się najlepiej widzą do tej sprawy; z nimi przetrząśnij okolice aż dostaniesz języka.

Otrzymawszy to polecenie, Bandura wybrał sobie natychmiast kilkunastu ludzi, między którymi był Juraś i ruszył z nimi naprzód. Rano właśnie zaświtało, po jarach podnosiły się białe opary jak dymy, które słońce przesunęło złotemi promieniami. Nieszczęśliwa, strutowana ziemia oddychała jednak dziwną świeżością i urokiem, pomimo zgłiszczy, które ją pokrywały. Bandura poprowadził swój oddział w głąb jaru, na dnie którego płynęła rzeczka Studzienka. Ruiny jaru tworzyły wysokie skały, pionowo wznoszące się po bokach i porośłe drzewami i krzewami. W niektórych miejscach występowały one groźnie wisząc nad samą drogą, jakby lada chwila spaść miały, a stosy nagromadzonych kamieni na brzegu rzeczki dowodziło, że to się już nieraz zdarzało. Jeszcze mgły unoszące się nad jarem nie rozproszyły się zupełnie, tylko wiatr poranny, wpadając szczelinami skalnymi, rwał je na szmaty, które czeptały się występów i wierzchołków albo też związały się i rozwijały, naprzemian kryjąc i odsła-

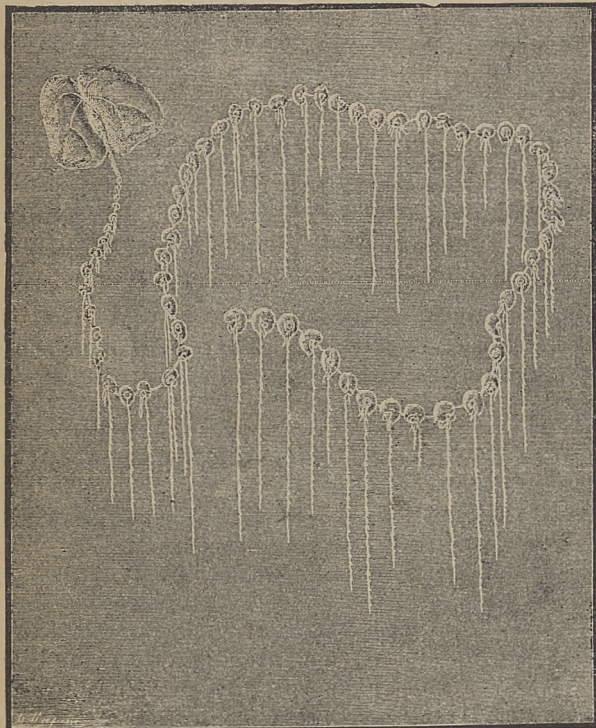


Fig. 33. Rurkopław *Praya*, znacznie powiększony.

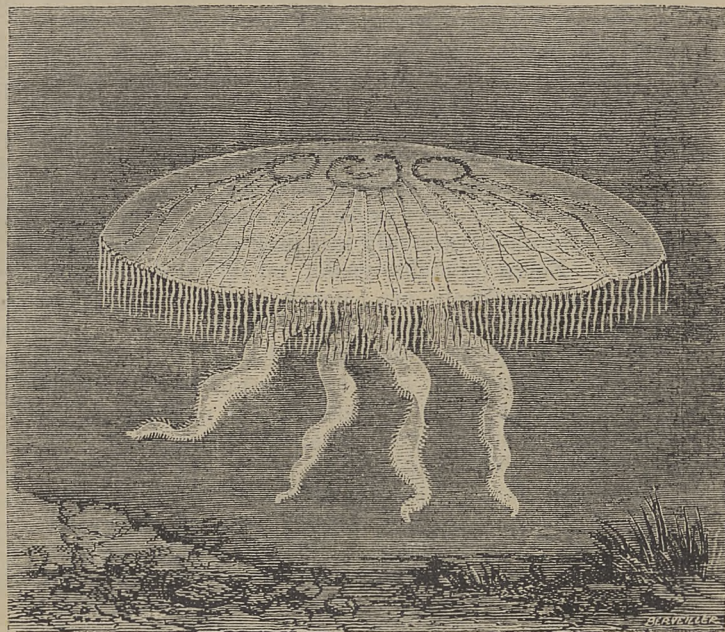


Fig. 34. Meduza *Chelbia modra* (*Aurelia aurita*).

jakby po nich przepędzano trzody bydła stepowego, czasem na drodze także trafiały się trupy, gdyż Tatarzy skoro widzieli, że który jeniec jest zbyt słaby by przenieść dalszy pochód, zabijali go i rzucali na gościńcu. Najczęściej spotykano niemowlęta stratowane, bo Tatarzy zabierali dzieci zawsze bardzo dużo, po kilka nieraz tysięcy, aby później prowadzić niemi handel ze Stambułem. Piękna, urodzajna okolica, która niedawno uśmiechała się pełną uroku, teraz wyglądała jak po przejściu gniewu Bożego; w jasnych blaskach księżyca zniszczenie uwydatniało się jeszcze więcej. Juraś jechał ze ściśnionem sercem obok swego towarzysza, inni także stali się milczący i smutni;

niając wewnątrz jaru. Tutaj słońce później wschodziło, mrok i chłód panował jeszcze dotąd, jeźdźcy drżeli z zimna, a konie parskały od rannej rosy.

Bandura wkrótce zaczął oglądać się na wszystkie strony i nakazał swemu oddziałowi by się cicho sprawiał. Jeźdźcy opatrzyli broń i starali się jechać w większym niż dotąd porządku. Byli to po większej części mieszkańcy futorów i znali dobrze miejscowość, a i z Tatarami znali się niezgorzej. Ustały natychmiast rozmowy i wszyscy jechali w milczeniu, nasłuchując tylko: Dym załatuje skądciś! ozwał się nagle jeden półgłosem. — Prawda! potwierdzili drudzy.



— Ja już to dawno czuję — rzekł Bandura — są niedaleko.

Jurasiowi serce znów mocno uderzyło w piersi z radości i wzruszenia. Więc są na koniec, zmierzy się z nimi. Bandura tymczasem nie przestawał patrzeć i oglądać się pilnie, wreszcie zakomenderował półgłosem: Z koni! W mgnieniu oka wszyscy znaleźli się na ziemi i ukrywając konie w gęstwinie, poczęli się wdzierać na skałę w ślad za Bandurą, który ich prowadził za sobą w milczeniu głębokim. W nieprzebytach gęstwinach, przez które się przedzierali teraz znać było ślady przejścia Tatarów w połamanych, gałęziach wypalonych pniach drzewnych i śladach ognisk. Wejście na skałę stawiało się coraz więcej stromem w końcu trzeba było wdzierać się jak na ścianę, czepiając się tylko krzewów rosnących miejscami. Wreszcie znaleźli się na szczycie skały, to jest nad samym

czasu ku ponurym stronom dalekiej północy, przedstawiającym możliwość poznania wyjątkowych zjawisk przyrody, a nęcących ku sobie tem silniej, im trudniejszy jest dostęp do tajemniczego, odwiecznymi lodowcami otoczonego, świata podbiegunowego.

W bieżącym wszakże roku, nie tylko uczeni, ale i szerszy ogół, żywo jest zainteresowany północą, w ostatnich bowiem tygodniach powrócił szczęśliwie z podjętej z wielkim trudem i narażeniem życia, wyprawy podbiegunowej, śmiały podróżnik Nansen wraz z wysłanym mu na pomoc Jacksonem; następnie pp. André i Ekholm czekają tylko przyjaznego wiatru, by dokonać śmiałej nad podziw próby dostania się balonem do bieguna; wreszcie ogólne zajęcie budziła i ta okoliczność, że tam jedynie tylko można było obserwować niezbyt częste zjawisko całkowitego zaćmienia słońca, które



Słońce o północy w Nordkap.

brzegiem jaru, a u stóp swoich ujrzeli drzewa i Studzienkę płynącą pod mgłami, które osłaniały wnętrze wąwozu. Nagle rzenie koni doleciało ich słuchu:

— To tu! — rzekł Bandura. Czy wszystkie rusznice nabite?

— Wszystkie — odpowiedziano mu razem.

(d. c. n.)

## Słońce o północy w Nordkap.

Jeżeli gorące strefy podzwrotnikowe, bogate w świetne okazy flory i fauny, oddawna zwabiały ku sobie uczonych i turystów, to nie z mniejszym zajęciem zwrócono się ostatnimi

przypadło w dniu 9 sierpnia. Jedną z miejscowości do której corocznie podążają setkami turyści, jest Nordkap, północny kraniec Europy, położonej pod 71° 11' szerokości północnej, a droga która tam prowadzi wzdłuż tysiącem wyspek poszarpanych wybrzeży Norwegii, i głęboko w ląd wrzynających się fiordów otoczonych stromymi ścianami skał, przedstawia coraz nowe, a zawsze cudowne i jedyne w swym rodzaju widoki.

Właściwie najdalej na północ sięgającym punktem jest Nordkyn, albo jeszcze cokolwiek wyżej posunięty Kniwskjardee, ale gdy one zaledwie na kilka metrów wznoszą się nad poziom morza, to Nordkap stanowi potężna skała na 307 metrów wysoka, niemal pionowo wpadająca do oceanu, i jakkolwiek od lądu stałego oddziela go wązka cieśnina, uważanym jest ogólnie za przedłużenie jego.

Na wyniosłość taką, z której oko obejmuje horyzont o promieniu 67 metrów, z wielkim tylko trudem i narażeniem życia dostawał się dawniej podróżny; dziś, że miejsce to coraz



liczniej jest zwiedzane, wykutą została w skale, spiralnie do góry prowadząca ścieżka, dająca warunki jeśli nie nazbyt wygodnej, to przynajmniej wolnej od niebezpieczeństw drogi.

Gdy przedstawimy sobie jak wyjątkowo wspaniałe rozciągają się muszą przed oczami widzów obrazy, skoro zająśnie nad tak rozległym horyzontem zjawisko „słońca północnego”, nie zdziwi nas pewnie wielkie zajęcie, z jakim turyści podejmują daleką podróż na skały Nordkapu.

Wiadomo nam wszystkim, że w miarę posuwania się ku biegunom, dnie stają się latem coraz dłuższe, a w miarę tego nocy krótsze, aż na samem kole biegunowem, podczas letniego przesilenia dnia z nocą, dzień trwa 24 godzin. Gdy o południu słońce w punkcie górowania wzniosłszy się na 47° nad poziomem, poczyną następnie zniżać się stopniowo, o północy zdaje się już dotykać linii horyzontu, lecz zamiast zmierzchu następuje bezpośrednio wschód, i purpura zachodu zlewa się ze złotem jutrzeńki. Szczególne wrażenie wywierają te nocy słoneczne, które na Nordkapie trwają od 13 maja do 30 lipca, najpiękniejszą zaś jest właśnie chwila owego połączenia zachodu ze wschodem, wtenczas bowiem, nie jest wstanie dorównać cudnej grze kolorów, w jakiej zanurza się cały widnokrąg, a uroczę to zjawisko dochodzi najwyższego swego punktu, jeśli stronami przeciągają burzliwe chmury, nie zakrywające słońca, a dodające pewien odcień grozy temu imponującemu widokowi. Podróżni utrzymują nawet, że rzadko zresztą zdarzający się w tych stronach zupełny spokój morza i pogodne niebo, nie licują z całością krajobrazu, który ma w sobie coś ponurego, dzikiego prawie. W pierwszych i ostatnich dniach zjawiska, to jest w końcu maja i lipca, rozlane w koło barwy wszystkich odcieni złota, poczynają się mienić w ową bogatą purpurę, znaną dobrze w porze jesiennej mieszkańcom stref umiarkowanych, tylko, północne słońce nie zapala na niebie jaskrawych barw pożaru, są to jakby nowe, delikatne, dotąd oczom naszym nieznane tony. Bo i samo słońce nie jest naszą ognistą, oślepiającą wzrok tarczą; łagodne jego światło trzyma jakby pośrednie miejsce między znanem nam słońcem, a blaskiem księżyca, i nawet, gdy w powietrzu niema mgły i wilgoci, można na nie patrzeć gołym okiem, jakby długotrwałość jego na tem niebie, znużyła i wyczerpała jego siły. Ale właśnie, to niby przyćmienie silnych blasków, stanowi cały, z niczem nieporównany urok, jakiemu nikt oprócz się nie jest wstanie, a który na zawsze bodaj, zostanie rozpaczą dla poety-malarza, szukającego napróżno na swej palce farb, do odtworzenia tych półświatł i pół-tonów, jakie oblewają potężną skałę Nordkap.

## SERBSKA DZIEWCZYNA.

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW SERBII W XIV STULECIU

przez

Teresę Jadwigę.

(Ciąg dalszy).

— Jak tehrz będę umykać z pola — mruknął Wuk Brankowicz, któremu zazdrość krzywdzące słowo na usta przyniosła.

Miłosz rzucił nam groźne spojrzenie.

— Jutro ta ręka zabije Murata, a jeśli z bitwy powrócę potwarzę ukarzę — rzekł prawie ku Wukowi wyciągnawszy. Wuk rozśmiał się.

— Jeśli ty Murata zabijesz, to mnie Turcy sułtanem obiorą — odparł szyderczo — wiadomo wszystkiemu, iż w języku walecznym jesteś, lecz gdzie groty padają chylił głowę i widziałem, jakieś na łowach przed dzikiem umykał.

Obelga była nader dotkliwą, Miłosz porwał się z ławy, krew uderzyła mu do głowy, chciał rzucić się na Wuka, wtem czyjaś dłoń ujęła go silnie za ramię.

— Serbia woła naszej pomocy, każda dłoń potrzebna, zaniechaj wojewodo waśni, po bitwie jak rzekłeś, upomnisz się o swoją cześć, a tymczasem nas przekonasz, że car miał słuszość, że wychylając pułhar na twoją cześć, jako na cześć najdzielniejszego nie omylił się.

Miłosz spojrział bystro w oczy mówiącemu.

— Ktoś ty? — zapytał.

— Marko, syn Tetery — odparł Marko — gdy ojciec błogosławił nas na wojnę, kazał się strzedz waśni przede wszystkim, więc nietylko siebie, lecz i drugich od niej strzegę.

Miłosz opamiettał się, a Wuk zawstydzil i przerwali sprzeczkę, posępne tylko spojrzenia rzucali na siebie. A Lazar zaczął rozwijać swoje plany wojenne, bo zaraz ruszyć mieli na pole Kosowe, tam rozbić namioty, gdyż miał wieści pewne, że w pobliżu tego pola wróg obóz swój założył, aby ranniem wypowiedawszy się zacząć nierzyjaciela. Lazar chciał ruszyć sam na bój na czele całego wojska i sił nie rozdzielać, gdyż mówiono mu, iż Turków moc się zebrała. Wojacy słuchali go, gotowi iść wszędzie, ale gdy już wyjeżdżali z Kruszewca Milica ze łzami zatrzymała mężowskiego konia.

— Wszyscy wojacy jadą na Kosowe pole, czy ja sama jedna w Kruszewcu zostanę? Mam ośmiu braci rodzonych weź siedmiu, mnie jednego zostaw.

Lazar zadumał się chwilę.

— Czegożbym ja nie uczynił dla ciebie, Milico, zostawię ci jednego z braci; stań u bramy zamkowej, gdy przejeżdżać będą, a na którego zawołasz ten może z tobą pozostać.

Milica do bramy pospieszyła, niebawem ukazały się zbrojne hufce, w blaskach zachodzącego słońca błyszczały ich włócznie, lecz jaśniej jeszcze błyszczały ich spojrzenia: na żadnej twarzy lęku nie widać, z uśmiechem myślą o spotkaniu z Turkami; rzą wesóło rumaki, na samym przodzie widać cara. Milica wzrokiem zażawionym szukała braci. Na czele pierwszego oddziału, tuż za carem ujrzała najstarszego Bonka. Koń jego miał czaprak złotem szyty i złoto świeciło na rumaku; Bonko trzymał chorągiew, nad nią wznosiło się jabłko złote, a na jabłku krzyż. Milica podbiegła do niego i rzekła:

— Car Lazar pozwolił mi jednego z was wybrać sobie, by czuwał nademną w Kruszewcu, ciebie wybrałam bracie, oddaj komu chcesz chorągiew zsiądź z konia i wróć ze mną do zamku.

Lecz Bonko wstrząsnął głową przecząc.

— Nie, Milico, tego nie uczynię — odparł — jam chorągiew królewski, moim obowiązkiem jest nieść za carem chorągiew i strzedz jej więcej, niż życia własnego... Kocham ciebie bardzo, lecz miłsza mi od ciebie Serbia i bronić ją muszę własnymi piersiami... Zdrajcą i tchórzem nazwaliby mnie bracia, gdybym tutaj pozostał; nie chcesz przecież, by taka hańba na dom nasz spadła.

Milica ręce załamała.

— Co ja pocznę nieszczesna?

Wtem zobaczyła młodszych braci z ojcem, nadciągających, więc otarła prędko łzy i podbiegła ku nim z uśmiechem.

Bracia moi mili, któryż z was z siostrą zostanie? — zapytała — car pozwolił bym jednego z was na obrońcę sobie wybrała.

— Żaden z nich z tobą nie zostanie — odparł poważnie stary Jug — nie czas myśleć o siostrze, kiedy kraj woła, a ty córko módl się, by orężowi naszemu Bóg sprzyjał.

Milica płakała.

— O Milico — przemówił do niej głos łagodny — nie czas na łzy, gdy mąż i bracia poszli tam gdzie ich powinność woła; i moi bracia poszli wszyscy.

Milica podniosła wzrok, przed nią stało jasnowłose dziewczę, o modrych oczach niby bławaty.

— Ktoś ty? — zapytała.

— Anka, córka Tetery, siostra Wojdy, Miłosza i Marka — odparła dziewczyna.

— Mówisz, że wszyscy bracia twoi pojechali na bój? — spytała caryca.

— Wszyscy.



— Więc chodź ze mną do zamku, razem płakać i modlić się będziemy za tych, których kochamy.

Anka ruszyła przecząco głową.

— Nie mogę — rzekła.

— Dlaczego?

— Za braćmi idę na pole Kosowe... Niejeden z Serbów ratunku wzywać będzie, nosię maści dla rannych, wodę, wino i chleb dla słabych.

— Kto ci to kazał?

— Serce własne — odparła Anka.

Milica popatrzyła na nią zdziwiona, poczem zawstydzona spuściła oczy przed tą mężną dziewczyną, wróciła do swych komnat i modlić się poczęła.

— Panie czuwaj nad nimi, Panie wspieraj ich! — wołała głośno.

Zobaczywszy, iż carowa się modli, inne niewiasty, które w zamku mieszkaly, otoczyły ją wokół i powtarzały za nią:

— Panie czuwaj nad nimi, panie wspieraj ich.

A wietrzyk niósł te słowa za odjeżdżającymi na otuchę obronę rycerzom.

### III.

Lazar rozbił swój obóz na polu Kosowym, bieleją namioty znakomitszych wojaków, wojewodów i samego króla; złote krzyże świecące nad każdym, świadczą, że walczą nie tylko za Serbię lecz i za wiarę, bo Turek to nie tylko nieprzyjaciel Serbów, lecz całego chrześcijaństwa... Cisza zalegała obóz; po pełnym trudu pochodzie tylko gdzieś gdzieś ognisko, a przy nich stoją strażę, czuwające nad bezpieczeństwem śpiących. Przy jednym z ognisk wsparty na włóczni stoi Miłosz Obylicz, to co spełnić poprzysiągł spędza sen z powiek. Czekając aż oddział posłany na zwłady przyniesie mu wiadomości o nieprzyjacielu. Na czele jego stanęli Marko, syn Tetery i jego pobratymiec Milan.

Wie, że oddaje swe życie, ale o to nie dba. Przysiągł dotrzymać musi.

Chwile wyczekiwania powrotu wysłanych wiekiem mu się wydają, noc je dłuższymi jeszcze czyni i sieje mu niepokój w serce, czy aby junaki nie zostali schwytani...

Lecz oto szybki tentent jezdnych dolatuje, Obylicz słuch wzrok wyteżył.

— To oni — szepnął. — To oni — powtórzył pewniejszym jeszcze tonem.

Z mgły wyłoniło się kilku jezdnych i do ogniska się zbliżyli.

— Marko, Milan — szepnął Miłosz.

— Tak — odparli przybyli.

— Zajrzeliście Turkowi w oczy?

— Pewno.

Zaczął ich wypytwać o odległość tureckiego obozu, odpowiedzieli mu o ile mogli.

— A czy nieprzyjaciel liczny? — spytał Miłosz.

Wiadomości były złe, siły nieprzyjaciela wielokrotnie przewyższały serbskie.

— To nic — szepnął Obylicz — jeśli Bóg nas wesprze, zwyciężymy.

— Zadał jeszcze kilka pytań. Z dwóch dowódców Milanowi kazał iść do króla, Marka na swoim miejscu postawił.

— Wrócę albo nie wrócę — wyrzekł krótko — ale słowa danego Wukowi dotrzymam.

Iwo i Milan między serbskie namioty się skierowali, Lazar oczekiwał ich niespokojny.

— I cóż? — zapytał Lazar, gdy ujrzał Milana.

— Carze, liczba nieprzyjaciół wielka, lecz nie wątpię, że ich pokonamy — odparł Milan.

— I ja nie wątpię, a dalekoż są?

I znowu Milan objaśnił o ile mógł dokładnie, położenie nieprzyjaciela.

Marko, stojąc na czatach, gonił wzrokiem niknącego w cieniach nocy Miłosza. Czy swoje szalone przedsięwzięcie spełni? Czy powróci?

Miłosz szedł pewnym krokiem gotów na wszystko, narzeczcie czarne mroki osłoniły go i tylko widział coraz słabiej migające ognie obozu Serbów, za to zarysowały się przed nim wyraźnie namioty tureckie. Udało mu się zmylić czujność straży i jakby cudem dostać do namiotu sułtana.

Nie trudno było go poznać, był wielki, złocisty, otoczony strażą. Sułtan nie spał, lecz radził ze starszą; Miłosz śmiałym krokiem posunął się ku namiotowi, niebawem dotarł do celu, lecz u wniścia dwóch czarnych Etiopów zagrodziło mu drogę, pytając czego żąda.

— Powiedźcie waszemu panu, iż Obylicz obrażony na króla Lazara, chce sojusz zawrzeć z sułtanem — rzekł Miłosz.

Słowa te głośno powiedziane dobiegły radzących. Wieść była pożądana. Na rozkaz rozstąpiły się straż. I w jednej chwili krzyk zgromy zmięszany ze słowem „Zdrada!“ rozległ się echem donośnym po całym obozie. Sułtan padł na ręce otaczających krwią zboczony, Miłosz, ukryty w rękawie sztylet, utopił w jego piersi... Rzucili się Turcy z dobytymi szablami na zabójcę; on bronił się jak lew, odpierał razy, otaczał się wałem trupów, lecz w końcu musiał paść rozsiekany tureckimi szablami.

Niestety! śmierć Amurata powiększyła jeszcze wściekłość muzułmanów.

— Na gjaurów! na gjaurów! — wołali. — Prowadź nas Bajazecie, synu Amurata, pomścimy śmierć twego ojca.

W obozie Serbów przed brzaskiem dnia jeszcze, przy polowych ołtarzach odprawiano nabożeństwa. Księża w bogatych dalmatykach wznosili ręce nad pochylonym przed nimi rycerstwem, błogosławiąc je na walkę, zwycięstwo i śmierć prawdopodobną.

Już Turcy zbliżali się jak nawałnica. Każdy wódz uporządkował swoje szeregi, wydał ostatnie rozkazy. I szły naprzód hufce w błękitnych i czerwonych kołpakach, powiewają strusie pióra, szerokie płaszcze wiją się około ramion chorągwie szeleszczą, brzęczą szable.

Do Lazara przypadł Wuk Brankowicz.

— Carze, oto ten z twoich wojewodów, którego tak miłujesz, iż własną siostrę dałeś mu za żonę; tak szanujesz, iż przed najstarszymi piłeś jego zdrowie, zdradził cię i uszedł tej nocy tajemnie z obozu — rzekł głosem, w którym brzmiało sztychowanie.

— Kto taki? — spytał Lazar zdumiony.

— Miłosz Obylicz — odparł Wuk — hufce jego się burzą, chcą uchościć z pola.

— Więc spiesz ich uspokoić — rzekł — powiedz, że car Lazar ręczy za Miłosza, on nie zdradzi.

— Możesz śmiało zaręczyć panie — odezwał się niespodzianie Marko, który właśnie nadciągnął — Miłosz Obylicz poszedł uściścić się z danego słowa, bo widziałem jak się stąd oddalał a mnie straż zlecił. — Nie wiem czy żyje jeszcze, ale przysięgam, że zdrajcą nie jest.

Temi słowy zakończył zacny syn Tetery, poczem zwrócił się do Wuka Brankowicza.

— Dopiero co oczyściłeś sumienie z grzechów, a znów je plamisz — dodał — rzucasz oszczerstwa na niewinnego i siejesz niepokój wśród swoich w chwili, gdy wszyscy powinniśmy wznosić ducha, a niepokój hart duszy odbiera.

— Zejdź z mych oczu Wuku, bo serce moje w tej chwili pełne jest żalu do ciebie — rzekł Lazar — obraza własna ci na myśli w chwili, gdy losy Serbii się ważą.

Wuk rzucił gniewne spojrzenie.

— Zejdę ci z oczu królu, zejdę nazawsze — odparł z groźbą w głosie — a ty junaku pochlebstwem zdobywasz sobie łaski pana, nie będę ci ich zazdrościć, bo od dziś Lazar nie moim panem.

Marko zapłonął szlachetnem oburzeniem, skoczył do Brankowicza i pięści zacisnął, lecz pohamował się na czas i cofnął.

— Gdy Turka zwyciężym, wyzwę cię Wuku na szablę — rzekł drżącym jeszcze od gniewu głosem. — Ale miła mi Serbia nad wszystko, dla niej zniosę bez odwetu obelgę, tylko gdy czas nadejdzie upomnę się o nią.



— Marku, spiesz do hufców Miłosza, obejmij nad nimi dowództwo — rzekł Lazar.

— Ałłach! Ałłach! — brzmiało pod obłoki.

Z dala zamigotały czerwone i błękitne kaftany mahometan, bogato haftem ozdobione, białe ich turbany i krzywe szable. Na pięknych koniach świecących od złota, pędzili Turcy; za nimi, w kozuchach baranich, wełną na wierzch wywróconych, Tatarzy.

— Za mną! za mną Serbowie — zawołał Lazar, spiął konia ostrogą i zwrócił go naprzeciw wroga.

Biegne za królem rycerstwo, ziemia dudni głucho, drży powietrze od krzyków... Marko pospieszył do hufców Miłosza, by stanąć na ich czele, lecz garść zastał tylko; większość groźbę spełniła i uszła z obozu; i tę garść prowadził do boju.

Walka zawrzała, walka zacięta, krwawa: lecały głowy tu i reckie pod cięciem ostrych szabl serbskich, jak pokosy traw pod cięciem kos kniecych, krew tworzy kałuże na ziemi, wałęsa się z koni mułmanie. Z początku zwycięstwo przechyla się na stronę Serbów. Z niepomamowaną siłą rzucają się na daleko liczniejszego nieprzyjaciela. Łamią jego szyki.

— Zwycięstwo przy nas! — wołają wesoło, a słowa te bodźca wszystkim dodają. Siwowłosy Jug razem z ośmioma swymi synami, walczy zjadle; uchodzą z popłochem przed nim mułmanie, a dzielni synowie dzielnego starca ścigają ich zaciekle... Ban Uglesz i wojewoda Hojko ośmiu baszów w pętą wzięli, Wukaszyn czterech, ten własną ręką zarząbał dwudziestu Turków, w końcu legł sam okryty ranami, a spadając z konia krzyknął:

— Bracia! nie wspominajcie więcej imienia mego z klątwą, bo krew, którą wylałem, zmyła zbrodnię mego poprzednika.

I młody Marko nie próżnuje: z ciał wroga wałęsa się koło niego ściśle, szable nie wypuszczają z rąk.

— Zwycięstwo przy nas — wołają Serbowie i siła wraca zmęczonym dłoniom.

Lecz cóż to? coraz nowe zastępy Turków na nich następują; oni już znużeni bojem, tancerzy mają świeże siły. Niepokój zakrada się do serca Marka, ale nie traci otuchy, rąbie szablą tych co ośmielają się zbliżyć ku niemu. Nagle krew uderza do jego twarzy, wstyd rumieni mu czoło.

— O Boże! czyż mnie oczy mylą — szepcze do siebie — toż nie Turcy wiedzą te zastępy, lecz Wuk Brankowicz...

Ból przenika jego serce, dłoń słabnie.

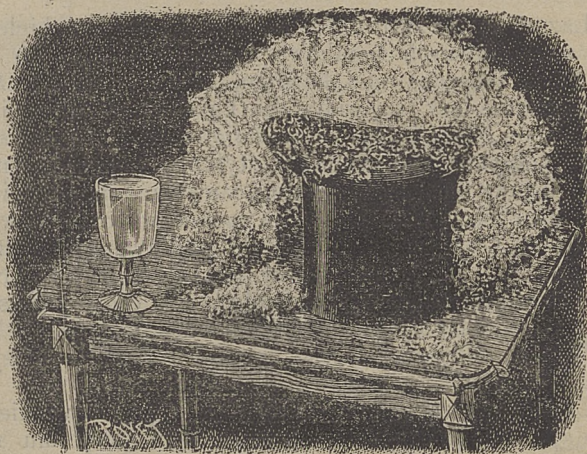
-- Serb na Serbów wroga wiedzie, chrześcijanin na chrześcijan mułmanów... Panie nie karz za jednego całego narodu — szepczą jego usta! — Gdybyż on jeden był zdrajcą! Niestety, o wiele więcej wydała ich Serbia.

— Ałłach! Ałłach! — brzmi tymczasem pod obłoki, tłoczą się świeże zastępy pomiędzy walczącymi Serbów, których strach ogarnia, zwyciężające hufce łamać się poczynają. próżno woła, zaklina Lazar, próżno zachęca do wytrwania, uciekają... Garść tylko wierna swemu panu, nie opuszcza go, widząc między nimi starego Juga z ośmioma synami, wojewodę Hojkę, Uglesza, Milana, Marka i jego braci, widząc jeszcze wielu, lecz w porównaniu z liczbą mułmanów ich tylko garść; a niestety coraz ich mniej, gdyż szable tureckie migają w powietrzu, walka coraz słabiej się toczy, wreszcie ustała, bo walczyć już nie

było komu: jednych powalili Turcy, drugich w pętą ujęli... Na polu Kosowem tylko trupy i ranni, a nad nimi w górze kruki i wrony kraczą wesoło, jakby radowały się z klęski Serbów...

W Kruszewcu tymczasem modliła się, płakała za mężem, ojcem i braćmi Milica; wreszcie nad wieczorem zmęczona usnęła i śniła jej się, że stoi na szczycie wieżycy, a wzrokiem szuka pola Kosowego, wtem widzi dwa białe kruki, lecące wysoko. Doleciały do Kruszewca, i zakrakały żałośnie a Milica odezwała się do nich: „Powiedźcie mi kruki, z kąd lećcie? może z pola Kosowego, na którym Serbowie biją się z Turkami? tam walczy mój mąż, ojciec a z nim ośmiu jego synów... Jeśli stamtąd wracacie, powiedźcie kto zwyciężył, czy żyje car Lazar i rycerstwo całe?” „Żal nam ciebie caryco” odpowiedział jeden z kraków. Z pola Kosowego wracamy; cały dzień trwał bój, a Serbowie zwyciężeni zostali”. „A Lazara widzieliście?” zapytała Milica. „Widzieliśmy trupa bez głowy” odpowiedział drugi kruk. Carowa ręce załamała. „Oj dolaż moja dola!” krzyknęła „więc sierotą zostałam”.

(d. c. n.).



## Jak pomieścić kapelusze waty w kieliszku spirytusu.

Oto doświadczenie, którem możemy zabawić kółko znających. Przedstawmy im kieliszek, pełen spirytusu i wysoki kapelusze męzki, napełniony watą w drobne strzępki poszarpaną tak, aby zajmowała jaknajwiększą przestrzeń; oświadczmy teraz, że całą tę watę pomieścimy w kieliszku i ani jedna kropla spirytusu się nie wyleje. Zadanie zdawałoby się niemożliwe, a jednak wystarcza tylko brać watę w jak najmniejszych strzępkach i powoli zanurzać ją w płynie, aż rzeczywiście włożymy całą ilość waty, nie utraciwszy ani jednej kropli z pełnego po brzegi kieliszka.

Ta własność pochłaniania alkoholu przez watę, zużytkowaną została w lampkach spirytusowych.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

**TREŚĆ:** Życie w oceanie przez Dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Odzyskany, powieść p. Maryę Łopuszańską. — Słońce o północy w Nordkap (z ryc.) — Serbska dziewczyna, powieść z dziejów Serbii w XIV stuleciu przez Teresę Jadwigę. — Jak pomieścić kapelusze waty w kieliszku spirytusu (z ryc.) — Dodatek: Wuj Józef przez H. G-t. (z ryc.) — Zadałana Jadzia przez A. R. — Dziecię i ptaszek, wiersz przez W. G. — Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łamigłówni, rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Robinson kanadyjski, przekład P. Gr.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Вapшaвa 17 Августa 1896 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.



# WIECZORY RODZINNE

## WUJ JÓZEF.

Cały dzień nie mówiono o niczem innem, tylko przyjeździe wujka Józia. O! bo jak też go kochano: mamusia, i tatuś, i Janek, i Kazio i wszyscy, wszyscy ochali go.

Ale nie myślcie, że wujcio jest stary; ma on czarne włosy i wąsy i brodę, bez jednej siwej niteczki. A jaki dobry, jaki dowcipny, jakie opowiada zawsze ciekawe rzeczy. I nic w tem niema dziwnego, bo co ten wujcio apodróżował się w życiu.

Naprzykład ta ostatnia podróż trwała bez przerwy siedm miesięcy. Ale z jaką też radością myślano o powrocie ukochanego wuja.

— No, chłopcy — zawołał ojciec — ubierajcie się, zaraz jedziemy na stację.

— Myśmy już dawno ubrani, proszę tatki.

— Tem lepiej, więc chodźcie.

Do stacyi było cztery wiorsty, a że koniki prędko biegły, droga trwała niecałe pół godziny, mimo to Janek o chwila pytał, czy nie spóźnią się na pociąg.

— Otóż jest i stacya, a oto rozlega się dzwonek, co naczy, że pociąg wyruszył z ostatniego przystanku.

Jeszcze dziesięć minut.

Już tylko dziewięć, ośm, pięć, trzy, dwie. Widać już dym, słychać syczenie lokomotywy.

— A może wuj nie przyjedzie?

— O! jest, stoi przy schodkach.

— Wujciu, my tu stoimy!

I wujcio ucałował mamusię, tatusia, potem przysłał olej na chłopców.

Powracano wesoło; wuj, jak zawsze, śmiał się, opowiadał.

— Jak tylko przyjedziemy, musisz się położyć spać, Józefie — rzekł ojciec.

— To wujcio nie pójdzie z nami na polankę? — zawołał ze smutkiem Kazio.

— Wuj zmęczony, mój Kaziu — wtrąciła mama — musi spocząć po drodze.

— Ale do wieczora jeszcze się wuj wyśpi, potem możemy iść na naszą polankę, tę, którą wuj tak lubi...

— Dobrze mój Kaziu, pójdziemy.

Wujcio w samej rzeczy bardzo był znużony; aż mu oczy kleiły. Dwie noce jechał i spał w wagonie.

Ale około piątej wyszedł ze swego pokoju, porozmawiał z ojcem i mamą, zjadł obiad i zawołał chłopców.

— No cóż, pójdziemy? — wyrzekł.

Janek i Kazio aż skoczyli z radości.

Owa ulubiona polanka wujcia Józefa, była bliźutko do domu. Tam skierowali swe kroki.

Wuj usiadł z papierosem w ręku, zdjął kapelusz i położył go obok siebie. Janek położył się i podniósłszy łowę, utkwiał wzrok w twarzy wujcia, chwytając każde

jego słowo. Kazio usiadł obok i co chwila wydawał okrzyk podziwu, na co znów gniewał się Janek, prosząc, aby nie przerywał.

— Ach! jak tam musi być ślicznie — zawołali, gdy im wuj opisywał Szwajcaryę.



Janek utkwiał wzrok w twarzy wujcia...

— Bardzo pięknie, moje dzieci, ale wierzcie mi: żaden z widzianych widoków nie był mi miłszym od tej polanki i tego słońca.

Chłopcy spojrzeli na ognistą kulę, która powoli gięła za horyzontem, potem na polankę, obrosłą niską trawą, a potem na wuja.

I zdawało im się, że widzą w oku wujcia łzę.

— Tak dzieci — rzekł wuj po długiej chwili milczenia, którego żaden z nich nie śmiał przerywać — to jest dla mnie najmiłszy ze wszystkich widzianych widoków.

H. G-t.

## ZADAŚANA JADZIA.

Jadzia dąsała się bardzo często, wobec najmniejszego niepowodzenia krzywiła zaraz buzię. Starszy jej brat Zygmus, który uczył się rysować, postanowił odurczyć ją tego.

— Jadziu — rzekł jej raz — jeżeli chcesz, pokażę ci moje rysunki.

Uradowana poszła za nim natychmiast.

Zygmus pokazał jej portret dziewczynki rozgrymaszonej, wysunięte naprzód wargi nadawały jej śmieszny minę, czoło zmarszczone, oczki spuszczone, patrzące na koniec bucików, czyniły ją bardzo nieprzyjemną.



Jadzia w obrazku tym poznała się bez trudu i bardzo niezadowolona, odwróciła się od brata.

Zygmus uśmiechnął się i powiedział: chodź, zobaczysz drugi obrazek, może podoba ci się lepiej, niż pierwszy.

Z początku rozdąsana dziewczynka nie chciała patrzeć wcale, ciekawość jednak zwyciężyła.

Tym razem buzia jej rozjaśniła się, gdyż obrazek przedstawiał twarzyczkę uśmiechniętą i ożywioną.

— Ach! jaka ładna dziewczynka—zawołała Jadzia—ależ to ta sama, czy to także mój portret?

— Naturalnie, to także moja siostrzyczka -- odrzekł Zygmus — tylko tu nie grymasi, to moja siostrzyczka taka, jaką być powinna, taką wszyscy kochają, takiej niktby się nie ośmielił rysować z minką zadąsaną.

Nauczka braciszka zrobiła wrażenie na Jadzi, postanowiła ją zapamiętać. Poprosiła Zygmunta, aby jej podarował obydwie obrazki, schowała je do kieszeni, a gdy tylko przychodziła jej ochota grymasić, wyciągała portrecik Jadzi zadąsanej, przypatrywała mu się i znajdowała, że jest tak brzydką i zabawną, iż zaczynała śmiać się sama, a wtedy mimowoli twarzyczka jej wypogadzała się, przybierając miły i ujmujący wyraz.

A. R.

## DZIECIĘ I PTASZEK.

— Jakby to było dobrze — myślał Henryś mały,  
Goniąc wzrokiem jaskółkę po niebios lazurze —  
Żeby ludziom u ramion skrzydła wyrastały;  
Żeby oni też mogli, jak ptaki ku górze

Wzlatywać o każdej porze...

Bujać w przestrzeni bez końca,  
Kąpać się w promieniach słońca...  
Jakby to było dobrze, przyjemnie... ach, Boże!  
I westchnął smutnie; wtem ptaszyna chyża

Lot zniża,

Na gałązce siada wśród gęstwiny  
Zaświegoce do smutnej dzieciny:  
— Zazdrościsz mi skrzydełek, nieświadome dziecię!  
Niech więc tę zazdrość przygłuszę,  
Bo ciebie hojniej Bóg obdarzył; przecie

Masz duszę,

Co w tak potężne skrzydła jest bogata,  
Tak górnio, szybko, kiedy zechcesz, wzłata  
Że nawet orzeł w najśmielszej pogoni,

Jej nie dogoni!...

Dziwi się Henryś i ptaszynę prosi  
By powiedziała, co tak duszę wznosi?  
Więc ona krótko, w cichej szepnie nucie:  
— Myśl i uczucie.

W. G.

## Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dalszy ciąg).

O szóstej, Melcia cała drżąc wchodziła do jadalni, gdzie nikogo jeszcze nie było. Była w wielkiej obawie, czy potrafi znaleźć się przy stole, używać zręcznie noża i widelca.

— Co ja zrobię? — zapytywała brata.

— Nie bój się, ja się już napatrzyłem jak się to robi, gdy nie będziesz czegoś wiedziała spojrzuj na mnie, pokażę ci na migi, zresztą przypatruj się jak robi pan Andeo i rób tak samo. Chleb nie wiem dla czego wszyscy łamają w rękach, kiedy o wiele wygodniej krajać go nożem.

Gdy tak rozmawiali z sobą drzwi się otworzyły i wszedł pan Dumany podając rękę bratowej, za nim szedł Andeo i Franciszek.

— A cóż ty mała tu robisz?—zapytała pani Dumany Melcię, marszcząc brwi groźnie... Czy masz co do powiedzenia?

— Nic proszę pani... ale... myślałam...

— Powiedz że kochany Euzebiuszu, że miejsce jej nie jest tutaj — przerwała pani Dumany, siadając z prawej strony pana domu.

— Tak jest, kochana siostro, bo ona dzisiaj po mojej lewej stronie siedzieć będzie.

— Cóż to dziś za uroczystość, żeby służąca siadała z nami do stołu?

— Ta służąca naraziła dziś swoje życie, by mnie uchronić od przykrości, nie zapomnę jej tego nigdy... Chociaż w ten sposób chciałem jej pokazać jak cenię jej dobroć i odwagę...

I opowiedział całą przygodę ranną na stawie.

— Dobrześ bardzo postąpiła moja Melciu — odezwał się pan Andeo.

Melcia uszczęśliwiona jego pochwałą zarumieniała się mocno, spuszczać oczy na talerz, mając z wielkiego zażenowania większą ochotę do placzu, jak do jedzenia.

Gdy na drugie danie podano kurczęta, pani Dumany trącając brata i wskazując Iwonka, rzekła:

— Czy pozwalasz, aby chłopiec kredensowy zachowywał się w ten sposób przy stole?

Iwonek widząc, że Melcia ma zamiar w palcach przełamać skrzydełko, dawał jej różne znaki, których ona dobrze zrozumieć nie mogła, a przejęta ciągłym strachem, by się dobrze zachować, nie śmiała już dotknąć kurczęcia.

— Mnie wzruszają tylko ci malcy — szepnął pan Dumany, i zwracając się do Melci:

— Patrz kochaneczko, weź nóż w prawą rękę, widlec w lewą i rozdziel kurczę na części, to mówiąc na swoim kawalku wskazywał jak robić należy.

Melcia pojęła odrazu i odtąd wszystko już poszło dobrze; a Iwonek dawał jej tylko znaki przytakujące. Na deser podano doskonałą leguminę z ciasta kruchego i porzimek, a Melcia wyczytała w oczach braciszka z jakim



apetytem i on skosztowałby jej także, przy drugim stole nie podawano takich przysmaków...

Koniecznienie musi się z nim podzielić swą porcyą, gdy się namyślała co zrobić, pan Dumany zapytał:

— Cóż to Melciu, nie lubisz słodyczy?

— Owszem, proszę pana... i zjadła kawałek, a widząc, że nikt na nią uwagi nie zwraca, kiwnęła na Iwonka i oddając mu swój talerz, szepnęła:

— Zjedz sam.

Cała ta scena nie uszła uwagi samego pana, dostrzegła ją także pani Dumany.

— Widać panience kuchnia nasza nie smakuje — rzekła z przekąsem, zwracając się do Melci — jednakże legumina dzisiejsza jest doskonałą, ale kto ma smak bardzo wybredny...

— Mnie się jednak zdaje, że Melci druga porcyą smakować będzie, nieprawdaż — rzekł pan Dumany. — Jo, podaj jeszcze półmisek.

— Dziękuję panu, już brałam...

— Aleś nic nie jadła.

— Bo... ja...

— Mów otwarcie moje dziecko, może nie lubisz posiomek?

W tej chwili Iwonek, który w kącie pokoju załatwił się z całą porcyą, zbliżył się do pana i rzekł:

— Proszę, niech pan nie gniewa się na Melcię, ona lubi i słodycze i posiomek, tylko mnie oddała swoją leguminę, to ja jestem winny i łakomy, a ona jak zawsze, więcej myśli o mnie jak o sobie.

— A widzicie, że zgadłem — rzekł pan Dumany, zwracając się do swej bratowej.

— W każdym razie mnie to nie wzrusza — odrzekła z ironią pani Prosperowa Dumany — a jeżeli ten przyszły kamerdyner, a obecny uczeń twego Murzyna, będzie nam tu płatał figle i wtrącał się do rozmowy, wkrótce kuchnia przeniesie się do jadalni, a my do kuchni.

— Kto wie czyby to dla naszej dumy nie było nieraz z korzyścią... — odparł pan Dumany. — Ale teraz powiem wam dla czego zaprosiłem Melcię na obiad. Chciałem wynagrodzić jej poświęcenie, lecz ona nagrody przyjąć nie chciała, tym więc chociaż sposobem chcę jej okazać, że ją szanuję i na równi z wami uważam. Podaj mi rękę moje dziecko, niech ją tu przy wszystkich uścisknę.

— I mnie także — rzekł pan Andeo, — dumny jestem z twojej odwagi, moja miła uczennico.

Cóż za radość dla Melci, pan Dumany, pan Andeo, ci dwaj ludzie którzy dla niej stali po nad wszystkiemi, ściskali jej ręce, chwalili... żal jej tylko było że rodzice widzieć tego nie mogą.

I w kuchni wiedziano już o całym wypadku od Murzyna, który wszystko opowiedział ze szczegółami, kaźden znalazł dla Melci dobre słówko, a ona się broniła mówiąc, że postępek jej był zupełnie naturalny, a wszyscy są tak dobrzy i chwala ją niepotrzebnie.

Dnie płynęły dzieciom prędko, przeplatane nauką, pracą i rozrywką. Pani Dumany widząc, że brat coraz się więcej przywiązuje do — włóczęgów — stawiała się dla nich z dniem kaźdym bardziej niechętną. Bała się by to przywiązanie nie było z krzywdą jej syna. Lecz co

robić, jakim sposobem pozbyć się tych dzieci z domu? oto pytanie, które sobie setki razy zadawała, nie umiając znaleźć na nie odpowiedzi.

W tym czasie pan Dumany dostał zapalenia oka, a nie mogąc wcale czytać, uskarżał się na nudy wieczorami przed panem Andeo.

— Ależ poco pan narzeka — odezwał się ten ostatni, mając pod ręką doskonałą lektorkę, Melcia czyta bardzo dobrze, ma głos bardzo miły. Z prawdziwą przyjemnością słucham jak mi deklamuje bajki La Fontaine'a, których się uczy na pamięć, tak dobrze umie oddać kaźde uczucie... Niech pan tylko spróbuje, a jestem pewien, że moja uczennica pozyska pańskie uznanie, na które ze wszechmiar zasługuje.

Tegoż wieczoru pan Dumany zawołał Melcię do swego gabinetu i żądał aby mu coś przeczytała.

— Ale coby pana mogło najwięcej interesować? — zapytała.

— Sam nie wiem, poszukaj w tej szafie... Czy lubisz podróże?

— O bardzo, szczególnie morskie.

— W takim razie, weź: „Odkrycie Ameryki”... na czwartej półce dwa tomy, zobaczysz tam śliczne ilustracje.

Gdy Melcia wyjęła żądane książki i zaczęła czytać, rzecz sama zainteresowała ją od początku, głos jej się ożywił, oczy błyszczały ciekawie.

Wiesz ty maleńka, że mi się twe czytanie bardzo podoba i nieraz będę cię tu wzywał, by sobie zaoszczędzić moich starych oczów. Czy cię ta książka zajmuje?

— Więcej, jak wszystkie które dotąd czytałam. Ach, jakżebym chciała być tam z niemi i płynąć do nieznanej ziemi! — zawołała Melcia z zapalem.

— Chciałabyś podróżować?

— O tem tylko myślałam puszczając się z ojcem na morze... Wystawiałam sobie, że nasza łódź to wielki statek, który nas unosi w dalekie, nieznane strony, w dziwne kraje, gdzie wielkie drzewa dosięgają wierzchołkami nieba, gdzie są lasy nieprzebyte pełne nieznanych zwierząt i cudownych ptaków. Lub też wystawiałam sobie, że otoczą nas lodowce, które piętrząc się tworzą cudowne pałace i kościoły z wysmukłemi wieżami, ojciec widział takie lodowe góry pływające po morzu i mówił, że bardzo niebezpieczne są one dla statków. Tak bywałam zajęta mojemimi myślami, że gdyśmy powracali i ojciec mówił, że trzeba wysiadać, czułam się mocno zawiedzioną.

— A wiesz ty Melciu, która to już godzina? — zapytał pan Dumany. Już blisko dziesiąta, czas wielki iść nam spać obojgu i tak Hortensya gniewać się na nas będzie.

— Dobranoc panu, przepraszam za moje gadulstwo, które pana pewno wynudziło i zmęczyło.

— Najlepszy dowód, żeś mnie nie zmęczyła ani wynudziła, bo jutro mam znów zamiar posłać po ciebie i w dalszym ciągu słuchać twego czytania.

(d. c. n.)



Jestem dziki samotnik, nie w łasce u ludzi,  
Bo postać moja wcale wdziękami nie błyszczy.  
A pracowite dzieło które mnie wciąż trzodzi  
Łada ręka okrutnie rozrywa i niszczy.  
Lecz o dziwy! gdy kiedy pod temże imieniem,  
Jako dzieło rąk ludzkich wezmę postać nową,  
Każdy na mnie życzliwie spogląda spojrzeniem,  
I nie myśli mnie strącać choć ma tuż nad głową.

## KRZYŻ MAGICZNY.

		a	a				Z podanych liter ułożyć wyrazy
		e	e				które krzyżując się dałyby:
e	e	e	e	g	g		1) Miasto w Szwajcaryi.
i	i	m	n	n	n		2) Rzeka wypływająca w gub.
		n	n				Mińskiej.
		w	w				

## NITECZKA ARYADNY.

ułożył Słowik z n. Łubiany.

Wszy	pra	na	Bo	dzien	to	spra	przyjm
wy	stkie	ze	sze	śnie	ne	li	wy
a	chwa	bę	sen	za	na	pia	niech
li	gdy	nasz	dziem	wet	sy	Cię	li

## ROZWIĄZANIE DO N-ru 34-go

*Szarady:* Bu — ra — ki.

**Łamigłówni sylabowej:**

1) Kalejdoskop. 2) Amur. 3) Lipno. 4) Ibis. 5) San.  
(6) Zima.

Kalisz—Prosna.

### Łamigłówki w trójkącie:

W a r s z a w a  
A u s t r y a  
R a f a e l  
S u d a n  
Z a r a  
A a r  
W e  
A

Skrzynka do listów.

*Henryce B.* Chcąc tłumaczyć z obcego języka trzeba koniecznie znać gruntownie obadwa, ten z którego i ten na który tłumaczy. Aby je zaś znać dobrze, trzeba się uczyć jednego i drugiego. Oto co odpowiedzieć możemy na uczynione nam zapytanie dotyczące tłumaczenia. Z przysłanego nam wierszyka trudno jeszcze odgadnąć, czy autorka ma poetyczne uzdolnienie. W każdym razie radzimy pisać dużo dla wprawy.

Panu W. G. Z przesyłki skorzystamy i prosimy o adres dla bliższego porozumienia się listownie.

Zdaje się, że *Poziomka* leśna kocha przyrodę i piękność jej. odczuwa, skoro umiała skreślić tak zręczny opis Krynicy, że wspomnienia jej, z biegiem czasu nieco zatarte, znowu nam żywo stanęły w pamięci. Z prawdziwą też przyjemnością odczytaliśmy liścik *Poziomeczki* i życzymy, by staranność i systematyczne rozłożenie tematu, które tam znajdujemy, pozostały jej nadal jako przymioty nadzwyczaj cenne w wyrobieniu dobrego stylu.

Widzimy, że *Gucio I.* pilnie pracuje w godzinach kaligrafii, w zamian też za porządnie napisany liścik, Redakcyja chętnie uczyni zadość jego prośbie.

Dobre rozwiązania łamigłówek i szarad nadesłali: *Leonek S., Marynia Z.* i srebrzysta *Gwiazdka*; natomiast czarny *Łabędź* zrobił kilka omyłek, wskutek których wyrazy nie mają żadnego znaczenia, do ułożonej zaś przez siebie łamigłówki nie załączył rozwiązania. Stosownie więc do znanych czytelników naszym przepiśm, gdyby nawet rzecz dobrą była, przejrzaną nie będzie. Radzimy też zawsze odczytać po napisaniu każdy list, każdą nawet drobną karteczkę, aby się to stało przyzwyczajeniem i koniecznością, bo gdy dziś podobne pomyłki i niedokładności stają się przyczyną drobnych zawodów, to w późniejszym, poważnem życiu mogą spowodować przykre i niepowetowane straty. Niechże nam wkrótce *Łabędź* da dowód, że radę naszą chętnie przyjął i nią się kieruje.

Znikła świeża zieleń wiosny,  
Umilkł żeńców śpiew radosny,  
Słońce mniej już jasno świeci,  
I rój ptasząt wnet odleci.

Lecz Jaskółka do was wraca,  
Bo jej miła z wami praca,  
Bo wam służyć pragnie wiernie,  
Z pod stóp waszych zbierać ciernie.

Tak, powróciłam, kochani czytelnicy, aby dzielić z wami wrażenia i myśli, cieszyć się z objawów każdego szlachetniejszego uczucia waszego, a ukrywając się w najciemniejszym kątku Redakcji Wieczorów, gdzie mnie żadne ciekawe oko nie dojrzy, śledzić stamtąd stopniowy rozwój serc i umysłów waszych, nakształt pączków roślin w wiosną, rozkwitających pod wpływem światła nauki i ciepła przywiązania rodzinnego.

List twój zastałam różowa Aksamitko ale na stawione pytanie, nawet stosownie do życzenia twego nie mogę odpowiedzieć lakonicznie *tak* lub *nie*. W kwestyi przez ciebie poruszonej decyzja wyłącznie od Redakcyi zależy i do niej interesentka wprost bez niczyjego pośrednictwa odnieść się powinna, nadsyłając jednocześnie próbki swojej pracy; rozumiesz bowiem, że o wartości rzeczy nieznaanej wyrokować trudno. Za obietnicę częstszej korespondencji dziękuje ci szczerze:

*Jaskółka.*

# Anna Jastrzębska

PRZEŁOŻONA PENSJI WYŻSZEJ  
W RYDZE.

Elisabethstrasse 55 dom Wochemanna z początkiem 1896/7 roku, otwiera przy swym zakładzie *klasę wstępną z oddziałem froblouskim*. Egzamina dla nowowstępujących uczennic odbywają się w końcu sierpnia; egzamina na dyplomy nauczycielskie w listopadzie i marcu.